**Bezpłatny dodatek do Nr 99. „Głosu Narodu"**

# TYDZIEŃ KULTURALNO-LITERACKI

Nr 15 | Kraków, niedziela, dnia 11 kwietnia 1937 r. | Rok II

*Ks. Dr TEODOR KUBINA, Biskup częstochowski*

*W powrotnej drodze z Międzynarodowego Kongresu Eucharystycznego*

## Nowoczesny Babilon na Dalekim Wschodzie

Z Manili, właściwego celu naszej wyprawy, „Conte Rosso", nasz okręt nie zwrócił się od razu w powrotną do Europy drogę ku południowi, ale płynął dalej ku północy w kierunku Szanghaju, wielkiego portu blisko ujścia do morza olbrzymiej rzeki Yang-Tse-Kiang na chińskim wybrzeżu. Podróż z Manili do Szanghaju trwała zaledwie 3 dni (od 8. do 11. lutego), ale w tej krótkiej przestrzeni czasu przeżyliśmy wszystkie pory roku. Odjechaliśmy z Manili przy tropikalnym upale, ale już w dzień następny oddychaliśmy świeżym, istnie wiosennym powietrzem na pełnym morzu; kilka godzin później ostre, jak jesienne, wichry zmuszały nas do zmiany lekkich ubrań na cieplejsze; w samym zaś Szanghaju była zima, choć bez śniegu i lodu, która dotkliwie dała nam się we znaki. Słońce rzadko nam się pokazywało przez szare, ponure chmury, natomiast dość często padał zimny deszcz, wiały zimne wichry, a wilgoć nasycała powietrze.

Przy lekkiej pogodzie krajobraz chiński przedstawiał nam się ponuro, — tak ponuro, pomyślałem sobie, jak dzisiejsze losy wielkiego państwa chińskiego. Fale olbrzymiej rzeki Yang-Tse-Kiang, jednej z największych rzek świata, wyglądały jeszcze brudniejsze, jeszcze więcej żółte niż, przypuszczałem, zazwyczaj, a niskie jej wybrzeża jeszcze smutniejsze. A jednak rzeka nie mogła całkowicie ukryć swego majestatu. Zdawało nam się, że to nie rzeka, ale morze, potężne, wielkie morze. Wszak szerokość jej przy ujściu dochodzi do 25 kilometrów, a, jak słyszałem, wielkie statki mogą po niej płynąć aż przeszło 1000 km. w głąb kraju. Masy wody, które nieustannie rzuca w ocean są tak olbrzymie, że brudnym swym żółtym kolorem zabarwiają i zanieczyszczają morze w promieniu setek mil. Olbrzymi jest też ruch na rzece; roi się wprost od statków od najmniejszych do największych, a przede wszystkim od gibkich łodzi chińskich z oryginalnymi dużymi ciemnobarwnymi żaglami. Wzdłuż wybrzeża rzadko widać pola, natomiast dużo fabryk nowoczesnie urządzonych z wysokimi kominami, około nich wsie i miasta, podobne w swej budowie do europejskich, blisko wielkich portów lub centrów przemysłowych. Tylko jedna wysoka pagoda, którąśmy spostrzegli między licznymi tymi fabrykami na brzegu, przypomniała nam, że jesteśmy naprawdę w Chinach.

Po mniej więcej godzinnej jeździe nasz okręt z Yang-Tse-Kiangu skręcił w znacznie węższą rzekę Wang-Poo, nad którą leży Szanghaj. Ruch na niej jest jeszcze żywszy, fabryki i magazyny jeszcze liczniejsze, woda jeszcze brudniejsza. Dobijamy do portu. Roztacza się przede mną widok podobny do tego, jaki miałem, gdy przez Atlantyk zbliżałem się do Nowego Yorku. Wśród zabudowań portowych, ciągnących się wzdłuż brzegów całymi milami, za dymiącymi kominami wielkich okrętów i za smukłymi masztami żaglowców wyłaniają się z mgły olbrzymie drapacze chmur, pyszne gmachy o kilkudziesięciu piętrach, — istne wieże Babel.

Są one jakby symbolem Szanghaju. Bo miasto to jest — jak można najdobitniej określić jego charakter — nowoczesnym Babel, a zarazem Babilonem na Dalekim Wschodzie. Miasto-olbrzym, jedno z największych na kuli ziemskiej, bo liczy 3½, a zbliższą okolicą 5 milionów mieszkańców, a port jego jest piątym z rzędu na świecie... Miasto kosmopolityczne; przeszło 50 narodowości tu się zbiegło z całego świata w mniejszych lub większych grupach, żyje i ściera się w walce o byt wśród trzech milionów Chińczyków. Naprawdę, istne Babel, tylko o gigantycznych rozmiarach, o jakich w czasach biblijnych nikomu się nie śniło. I wznieśli tu ludzie nie jedną tylko wieżę Babel, ale cały las, a wznieśli je ku czci tego bożka, którego władza tutaj jest bezsprzeczna, uznana niemal przez wszystkich, bożka dolara. I nie wstydzą się tego ludzie i przeciwnie, dumni są z tej służby, bo też im się sowicie opłaca. Jest napewno mało punktów na świecie, gdzie się obraca tak ogromnymi kapitałami jak tu, gdzie w bankach nagromadzono tyle milionów złota jak tu. Szanghaj szczyci się tym, że ma swoja „billion dollar sky line", czyli „linię biliona dolarów", sięgającą do nieba. Tak nazywają przepyszną dzielnicę nad portem, gdzie w drapaczach chmur skupia się większość banków. To jest serce Szanghaju, a to serce jest niewątpliwie tak zimne i tak twarde, jak to złoto, które je wypełnia.

Dolar jest bezsprzecznym, przez wszystkich wielbionym, królem Szanghaju. Poza tym nie wiadomo, kto tu właściwie rządzi, albo raczej wiadomo, że wszyscy tu rządzą, a najmniej, przynajmniej dotychczas, rządzą ci, którzy właściwie tu rządzić powinni — Chińczycy .W r. 1843 udało się Anglikom zdobyć, albo wymusić od Chińczyków szmat ziemi, — nazywali to „koncesją" czyli ustępstwem ze strony Chińczyków; później udało się to Francuzom, później Amerykanom. A w najnowszym czasie Japończycy już nawet nie uważali za potrzebne zachowywać pozory, skłaniające Chiny do „ustępstwa", ale wprost siłą, za pomocą armat, zabrali sobie w Szanghaju również poważną część miasta. Mamy więc w Szanghaju „koncesję francuską", „koncesję międzynarodową", czyli angielsko-amerykańską, obie uznane przez rząd chiński, rozumie się, niechętnie, i nie uznaną, ale faktyczną „koncesję japońską". A przy tych „koncesjach" chodzi nie o względnie małe tereny w mieście, ale o ogromne gęsto zabudowane obszary. Wszak „koncesja międzynarodowa" liczy nie mniej niż 1,200.000, a francuska nie mniej niż 500.000 mieszkańców; ile zaś liczy japońska, powiedzmy już ściślej, okupacja, trudno stwierdzić. W tych koncesjach rząd chiński absolutnie żadnej nie posiada władzy; w koncesji francuskiej rządzi z prawie absolutną władzą konsul francuski, w międzynarodowej konsul angielski, a w japońskiej oczywiście generał japoński. Mają własną policję, bynajmniej nie chińską; Francuzi posługują się Anamitami, Anglicy Hindusami, a Japończycy już japońskim żołnierzem. Ściągają podatki i cła, nie oddając z nich ani grosza właściwym panom tej ziemi, to jest Chińczykom. Przy tym myliłby się ten, kto by przypuszczał, że we francuskiej koncesji mieszkają Francuzi, a w międzynarodowej Anglicy, Amerykanie i inni niechińczycy. Tak nie jest. W całym w ogóle Szanghaju jest tylko 1.568 Francuzów, Anglików 10.747, Amerykanów 3.667, Japończyków 19.000. Olbrzymie miasto jest prawie całkowicie chińskim. Ale tylko jego część jest pod władzą chińską, a to dzielnice najbiedniejsze, raczej peryferie miasta.

Zdziwienie ogarnia każdego człowieka rozumnego, gdy zorientuje się w tych anormalnych, wprost niewiarygodnych, stosunkach. Jak mógł dopuścić do ich wytworzenia się, lub jak może je tolerować naród chiński? Tak każdy się pyta. Przecież Chińczycy to jeden z największych narodów na świecie, liczący na ziemiach chińskich około 480.000.000 dusz? A nie jest to naród półdziki, ale naród szczycący się jedną z najstarszych i wcale wysoką kulturą. I jest to naród wolny. Kupiec chiński należy do najlepszych na całym świecie, chłop chiński do najpracowitszych. Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Na podstawie tego, co sam zaobserwowałem, i co słyszałem, mogę tylko stwierdzić, że dziś w Chinach coraz silniej budzi się świadomość tej upakarzającej sytuacji, budzi się potężniejszy z dnia na dzień ruch narodowy, budzi się wola do zlikwidowawnia tych stosunków, do wyzwolenia się obcej przemocy i ingerencji w sprawy kraju. Wszyscy z którymi mówiłem, a byli to ludzie poważni, znający dobrze Chińczyków, Francuzi, że wcześniej czy później osiągną swój cel, że zdołają pokonać nawet Japończyków i oprzeć się skutecznie fali bolszewickiej. Lecz uczynią to na swój sposób, powoli i z cierpliwością, możliwie bez użycia gwałtownych środków, ale raczej przez wewnętrzne usamodzielnienie się i konsolidowanie się narodu.

Tę metodę stosują już dziś względem Szanghaju. Nie mogąc lub nie chcąc anulować koncesji oraz wyrzucać Japończyków, Chińczycy budują blisko Szanghaju nowe miasto w lepszym jeszcze położeniu, tak samo nad rzeką Wang-Poo, ale już bliżej jej ujścia do Yang-Tse-Kiangu. Dzięki uprzejmości naszego posła przy rządzie chińskim p. ministra Barthel de Weydenthal, który nam towarzyszył, mogliśmy obejrzeć główne, już wykończone, gmachy publiczne tego nowego miasta: ratusz, muzeum, bibiotekę oraz olbrzymi stadion. Choć nowoczesne, zaopatrzone we wszystkie, dzisiejszym postulatom urbanistyki i postępom techniki odpowiadające urządzenia, gmachy te są wyrazem czysto chińskiego ducha, chińskiej kultury i chińskiej sztuki. Widać w nich świadomą wolę do stworzenia z rodzimych pierwiastków nowego chińskiego życia, wolę nie do bezdusznej imitacji europejskich lub amerykańskich wzorów, ale do wykorzystania nowoczesnej cywilizacji w chińskim duchu. Chiny nie chcą przestać być sobą, ale chcą się odnowić. O ile z tych początków, które widziałem sądzić można, trzeba powiedzieć, że to im się świetnie udało. Olbrzymi stadion świadczy też o tym, że ogromną wagę przywiązują do fizycznego wyrobienia młodego pokolenia i przez to samo przysposobienia go do żołnierskiej służby. A że ta myśl znalazła zrozumienie w społeczeństwie, dowodzi frekwencja nader liczna, którą się cieszy stadion. W krótkim czasie jego istnienia przewinęło się z okazji igrzysk i ćwiczeń przeszło 7.000.000 ludzi. Nowe miasto zakrojone jest na kolosalne rozmiary i ma być rozbudowane planowo. Od centrum, gdzie znajdują się wspomniane gmachy publiczne, już na wszystkie strony biegną szerokie asfaltowane ulice, przewody telegraficzne i telefoniczne, sieć elektryczna oraz kanalizacyjna, budują także nad rzeką doki i inne urządzenia portowe. O ile zdołają wykonać te plany, to będą mogli sparaliżować stary Szanghaj. Szanghaj międzynarodowy, gdzie władzy nie mają i w ten sopsób stać się naprawdę panami sytuacji.

Niewątpliwie budzą się nowe Chiny, choć bez krzyku, bez hałasu, bez wybuchów swego życia. Tysiącletnia tradycja nauczyła ich powagi, spokoju, cierpliwości i przezorności. Te też zalety cechują ich wielkiego wodza, marszałka Czang-Kai-Czek'a. Nie mówi on dużo, nie występuje gwałtownie i porywczo; działa spokojnie i z rozwagą. Naród go, jak wszędzie to można stwierdzić, wprost uwielbia, tak samo jego małżonkę. On rzeczywiście już dziś przez swoją osobę łączy cały naród. Głośny incydent zatrzymania go przez jednego z niekarnych generałów, o czym prasa europejska tak szeroko się rozpisywała, nie tylko nie poderwał jego autorytetu, ale go jeszcze wzmocnił. Pokazało się, że cały naród stoi za nim, i pochwala jego politykę, na pozór pasywną i ustępliwą, ale w gruncie rzeczy aktywną i celu świadomą. A celem tym jest zjednoczenie i odrodzenie całego narodu oraz przywrócenie mu pełnej niepodległości na wszystkich ziemiach chińskich. Japończycy — takie jest tu ogólne przekonanie tak w kołach chińskich, jak europejskich — prędzej czy później będą musieli zrezygnować ze swych imperialistycznych planów... Z Chinami świat w przyszłości będzie się musiał jeszcze bardzo poważnie liczyć.

Poza osobą marszałka Czang-Kai-Czeka, jak mi ku memu wielkiemu zdziwieniu znawcy kraju opowiadali, istnieje właściwie tylko jeden czynnik, który na zewnątrz wszystkich Chińczyków łączy, a mianowicie — pisownia chińska. W tym ogromnym kraju różne są warunki życia, różne religie, różne języki. Wspólna wszystkim jest tylko pisownia, te dziwne znaki chińskie, których się nie pisze, lecz maluje, których jest olbrzymia liczba, zmuszająca do najrozmaitszych kombinacyj, by nimi wyrazić myśli i słowa. Wskutek tego rzadko kto potrafi doskonale opanować chińską pisownię. Znaki te nie stanowią alfabetu, jak znaki naszych europejskich języków. Są one raczej podobne do znaków, którymi wyrażamy liczby. Znaki liczb są we wszystkich europejskich językach te same i oznaczają te same wartości, a jednak w każdym języku inaczej się je wymawia. To samo jest ze znakami chińskimi: są te same w kształcie i znaczeniu dla najrozmaitszych języków, których używają Chińczycy w różnych częściach swego olbrzymiego kraju i dlatego też są znakiem ich wspólności i jedności.

(Ciąg dalszy na str. 2).

*ANNA TUROWSKA*

## *Pożegnanie Krakowa*

## NOC

Już ucichł gwar ludzki, — obeschły łzy zwolna, —
Wiatr zdrzemnął się, świata nie zbiegłszy połowy,
Przez sen pachnie róża i lilia padolna —
O Krakowie!
Już pożegnałam Cię — jeszcze — bądź zdrowy!

Już gwiazdy zadrżały, — już księżyc stęskniony
Wyzłocił mar mglistych śnieżyste osnowy,
— Bezmiarów wszechświata uniósłszy zasłony —
O Krakowie!
Już pożegnałam Cię — jeszcze — bądź zdrowy!

Już dzień Twój nie wróci — łzą w oku lśni nowy,
Na skrzydłach jutrzenki cicho ku mnie płynie, —
O Krakowie!
Już pożegnałam Cię — jeszcze — bądź zdrowy!

Już sakwy podróżne i kij mam gotowy,
By zdala od Ciebie po łez iść dolinie...
O Krakowie!
Już pożegnałam Cię — jeszcze — bądź zdrowy!

## Nowoczesny Babilon na Dalekim Wschodzie

(Dokończenie ze str. 1).

Z tego powodu Chińczycy, choć się modernizują, nie myślą jednak o zmianie tej nader skomplikowanej pisowni na jasną, łatwiejszą, na stworzenie, jak w europejskich językach, alfabetu, składającego się li tylko z ograniczonej liczby liter, co by niewątpliwie ogromnie przyczyniło się do rozszerzenia oświaty i ułatwiło stosunki z innymi narodami.

Natomiast, przynajmniej oficjalnie, przyjęli Chińczycy rachubę czasu według europejskiego porządku i liczą nowy rok od 1 stycznia. To im jednak nie przeszkadza w uroczystym obchodzeniu nowego roku według starego zwyczaju i czasu, mniej więcej w połowie lutego. Nasz pobyt w Szanghaju przypadł właśnie na tę uroczystość. Wszystkie składy były zamknięte, po alejach i ulicach przewalały się niezliczone tłumy w karnawałowym nastroju, choć zawsze z zachowaniem umiaru i powagi, które cechują Chińczyków. Po wsiach bramki domów były oblepione kolorowymi papierami z wymalowanymi na nich życzeniami. Gdzieniegdzie na peryferiach spotkaliśmy pochody z olbrzymimi papierowymi smokami.

Religijnego znaczenia zdaje się, to święto, które teraz nazywają świętem wiosny, nie ma. Zresztą odniosłem wrażenie, że przynajmniej w Szanghaju, poza katolicyzmem, religia nie odgrywa większej roli. Mimo, że szukałem chińskich świątyń, znalazłem tylko jedną. Zrobiła na mnie bardzo przykre wrażenie. Wtłoczona między brudne domy, w brudnej czysto chińskiej dzielnicy była raczej podobna do jakiegoś warsztatu fabrycznego, pełnego dymu i wrzasku niż do przybytku religii. W ogóle dzielnice chińskie mimo swej malowniczości są brudne, ciasne, budowane bez wszelkiego planu. I sami Chińczycy na ogół są brudni. Robotnicy przy ciężkiej pracy, jak np. przy ładowaniu okrętów, lubią śpiewać jakieś używane melodie, jednostajnie powtarzane, a nie wesołe. Widocznie też nie mają z czego się weselić i cieszyć. Życie ich jest twarde. Wyzyskują ich nie tylko Europejczycy, ale może jeszcze więcej ich bogaci rodacy, chińscy kapitaliści. A takich jest dużo. Chińczycy posiadają duży spryt handlowy i wskutek tego często dochodzą do wielkiego majątku. Wyzysk kulisów (robotników) jest tym łatwiejszy, że ich potrzeby życiowe są nader skromne. Jak mi jeden z misjonarzy opowiadał, na utrzymanie wystarczy kulisowi mniej więcej 50 groszy. Wobec taniości artykułów żywnościowych także Europejczyk, mający większe wymagania, nie potrzebuje na swoje utrzymanie dziennie więcej niż około 1½ złotego. Kulis żywi się przeważnie ryżem, który tu jest niesłychanie tani; wystarczy mu kilka garści tego może najważniejszego produktu ziemi chińskiej, by pozostać przy pełnych siłach.

W wielkich, eleganckich restauracjach chińskich natomiast kuchnia jest bogata i — trzeba wyznać — bardzo dobra. Byliśmy w takiej restauracji. Obiad, który nam podano, składał się z mniej więcej 30 różnych potraw; między nimi były takie, jak płetwy rekina, jaskółcze gniazda, młody bambus. Kilka razy podczas obiadu były najrozmaitsze zupy. Przytem wciąż popijało się herbatę i gorące wino ryżowe z maluteńkich filiżanek.

Cztery całe dni przepędziliśmy w tym nowoczesnym Babilonie Dalekiego Wschodu. Budował go cały świat, i cały świat walczy o jego posiadanie. Nie dziw, że jest jakby obrazem wszystkich przeciwieństw, wszystkich kierunków, jakie istnieją w dzisiejszym świecie. Czy zawsze pozostanie Babilonem, miastem kontrastów? Pozostanie nim, dopóki w nim z niepodzielną władzą rządził będzie król dolar, materialistyczny egoizm. Bo „król dolar“ nie kieruje się w rządzeniu miłością, która łączy, która łagodzi i wyrównuje antagonizmy, ale żądzą zysku, która je wytwarza, pogłębia, zaostrza. Szanghaj przestanie być Babilonem władzy, gdy tu zapanuje i zwycięży miłość Chystusowa. Ta miłość i tu zawitała i poczęła działać. Między wieżami Babel Szanghaju wznoszą się już tu i tam skromne wieże kościołów katolickich, obok banków powstały już także katolickie zakłady, szkoły, szpitale, sierocińce. Istnieje już katolicki Szanghaj w tym szanghajskim Babilonie.

BOLESŁAW POLKOWSKI

## ROZWÓJ GDYNI

Gdy szary żołnierz polski w szary dzień lutowy 1920 roku stanął nad brzegiem nieznanej, wielkiej wody, Państwo Polskie stało się właścicielem 146 km. brzegu morskiego i kilkunastu wiosek rybackich.

Nieprzyjazne warunki polityczne i wrogi stosunek Gdańska, przyznanego Polsce jako port morski, bez włączenia go do granic administracyjnych, głębokie zrozumienie potrzeby posiadania portu własnego, niezależnego — zdecydowały o powstaniu Gdyni.

Jakże kolosalny musiał być nakład pracy i kapitałów. gdy po 10 latach Gdynia stała się portem na miarę europejską, w roku 1933 prześcignęła stary Gdańsk, w roku 1934 stała się pierwszym pod względem obrotów towarowych portem na Bałtyku, pozostawiając za sobą stare porty, jak: Kopenhagę, Stockholm, Szczecin, Królewiec, Rygę, Tallin, Helsinki i inne pomniejsze porty regionu bałtyckiego.

Trudno tu wymienić wszystko, co w porcie zrobiono — rzucamy kilka lapidarnych cyfr: baseny portowe zajmują powierzchnię 320 ha, obramowane są 15 km. betonowych nabrzeży, wybudowano 40 magazynów o powierzchni użytkowej przekraczającej 200.000 m²; 75 dźwigów portowych i najbardziej nowoczesnych urządzeń przeładunkowych obsługuje obrót towarowy. Ileż budynków, wreszcie dróg i mostów, torów kolejowych, wszelkiego rodzaju urządzeń portowych zostało wykonanych. Aparat techniczny staje się doskonałym, jest w stadium dalszej rozbudowy.

Powstaje i rozwija się aparat handlowy — przybywają do Gdyni coraz to nowe firmy handlowe, przemysłowe, maklerskie, ekspedycyjne, bankowe itd. itd. po to, by na tym żywym odcinku pełnić swą pracę ku chwale i rozwojowi rodzimego przemysłu i handlu.

Sięgnijmy po wyniki pracy portu gdyńskiego. Miarą tu będzie obrót towarowy. W 1927 r., tj. przed 10 laty, przez Gdynię przeszło 896.000 tonn towarów, w roku 1936 — obrót towarowy osiągnął imponującą cyfrę 7,743.000 tonn towarów. Ażeby sobie tę cyfrę uplastycznić — powiedzmy, że równa się ona około 15 tysiącom pociągów towarowych.

W związku z obrotem towarowym rozwija się ruch okrętowy. W roku 1927 Gdynia cieszyła się z osiągniętego rekordu: do portu zawinęło w ciągu roku 542 statków. W roku 1936 do Gdyni weszło 4.911 statków i to znacznie większych. Liczby mówią tu same za siebie!

Nasuwa się pytanie: Jaką rolę odgrywa Gdynia w handlu zagranicznym Polski? Rolę tę można uwypuklić jedną liczbą: przez Gdynię przechodzi 46% ilości i wartości handlu zagranicznego Polski, a więc prawie połowa towarów, będących przedmiotem zagranicznego obrotu towarowego Polski, idzie przez Gdynię.

Obok wciąż rozrastającego się portu powstało miasto portowe. W roku 1920 Gdynia była skromną wioską rybacką, odwiedzaną przez letników, liczącą zaledwie kilkuset mieszkańców. Powstanie i rozbudowa portu ściągała tu nad morze liczne zastępy ludzi pracy. Liczba ludności z roku na rok wzrasta. W roku 1926 Gdynia liczy już 12.000 mieszkańców, w roku 1931 — 30.000, w roku 1933 — 48.000, w roku 1935 — 75.000, wreszcie obecnie, na początku 1937 roku, liczba ludności przekroczyła 100.000.

Wzrasta Gdynia nie tylko w liczbę ludności, lecz również i terenowo. Warunki racjonalnej gospodarki miejskiej podyktowały potrzebę przyłączenia do Gdyni wiosek sąsiednich, obszarów dworskich i lasów. Obszar Gdyni w r. 1926 wynosił 6 km. kwadratowych, dziś wynosi 66, a więc dokładnie 11 razy więcej.

Przybywająca do Gdyni ludność musiała znaleźć dach nad głową — to też ruch budowlany wykazał również intensywne tempo. O intensywności budownictwa w Gdyni powie fakt, że w okresie trzech ostatnich lat wybudowano w Gdyni przeszło 1000 nowych budynków, kosztem przeszło 25 milionów złotych. Obecnie budownictwo znajduje się w stadium dalszego intensywnego rozwoju.

Kosztem kilkudziesięciu milionów złotych wybudowano w mieście i porcie blisko 100 klm. ulic zabrukowanych, przeprowadzono przeszło 100 klm. sieci wodociągowej, około 50 klm. sieci kanalizacyjnej, około 20 klm. sieci gazowej, wreszcie przeszło 250 klm. sieci elektrycznej. Trzeba podkreślić, że inwestycje te są tym więcej warte, że są wykonane przy zastosowaniu najnowszych zdobyczy techniki, a więc są w 100% nadające się do użytku.

Do inwestycji miejskich zaliczyć należy również budowę kilkunastu gmachów szkół powszechnych, budynków miejskich, budującej się obecnie hali targowej, rzeźni itp.

Gdynia — miasto portowe jest obecnie w stadium intensywnej rozbudowy. Taki jest obraz Gdyni dotychczasowej i jej rozwoju.

Zwróćmy się ku jej przyszłości!

Dziś Gdynia jest w połowie drogi do swej doskonałości. Powstał pierwszorzędny aparat przeładunkowy — nie jest jednak jeszcze Gdynia portem handlowym w pełnym słowa znaczeniu. Brakuje Gdyni jeszcze przemysłu i handlu na wielką skalę. Plan inwestycyjny Rządu, obok rozbudowy floty handlowej, przewiduje dalszą rozbudowę techniczną portu. Jesteśmy w przededniu budowy kanału przemysłowego, wkopanego w głąb lądu, nad którym ma powstać przemysł z obrotem towarowym surowcami. Dalsza budowa nabrzeży, magazynów, dźwigów jest w okresie realizacji. Miliony złotych, asygnowanych na ten cel, podniosą Gdynię na wyższe piedestały. Przecie pamiętać trzeba, że obecny handel zagraniczny Polski stanowi zaledwie trzecią część tego, co było w roku 1929. Koniunktura się odmienia, nasz handel zaczyna wzrastać i pójdzie w pierwszym rzędzie przez Gdynię. Być może niedługo będziemy patrzyli na dzisiejsze rekordy portowe z pewnego rodzaju ironicznym uśmiechem. Czas pędzi, a z nim szybko się zmienia rzerzywistość gdyńska.

Także i miasto. Obecny plan rozbudowy widzi Gdynię za kilka lat jako miasto 250.000.

Zanim to jednak nastąpi, trzeba będzie jeszcze dużo pracy i dużo kapitału włożyć do pełnego rozkwitu przyszłej wielkiej i pięknej Gdyni!

—oOo—

ADAM BAR

## Wśród książek

George Bernanos, autor słynnej książki, pt. „Pod słońcem szatana“ zajmuje, obok Mauriaca, wśród współczesnych katolickich powieściopisarzy francuskich czołowe stanowisko. Czerpiąc tematy do swoich utworów najchętniej z życia małomiasteczkowego kleru szuka zawsze poza jego treścią, poza tym co stanowi niejako widzialność bytu człowieka, głębszego, wewnętrznego nurtu. Nie epokowe wypadki, ani też drobiazgi są treścią życia, bo one przedstawiają tylko zewnętrzny symbol tego, co w nas samych istnieje, i co jest naszą najgłębszą wartością. To też w najnowszej powieści **Bernanosa** pt. **„Pamiętnik wiejskiego proboszcza“** (tł. W. Rogowicza, wyd. Rój) nie należy szukać skomplikowanej fabuły. Wiejski proboszcz małej francuskiej mieściny opowiada o swoim nieciekawym życiu. Nieciekawym dlatego, że właściwie nic się w nim nie dzieje. Gdy objął parafię, starał się wykreślić sobie plan pracy, ale wszędzie jego dobre chęci upadają wobec braku zrozumienia ze strony ludzi, którym ów wiejski proboszcz wydaje się dziwny; nie mają do niego zaufania, i dlatego doszukują się w jego postępowaniu złych intencyj; szkodzi im nawet to, że proboszcz jest chory i z dnia na dzień marnieje. Dramat w rodzinie hrabiego i rola jaką w nim proboszcz odgrywa — to także jeszcze nie wszystko. Bernanos, pisząc swoją powieść niewątpliwie w jej bohaterze pragnął stworzyć symbol. Ów wiejski proboszcz, żywiący się jedynie chlebem i winem, jest pełen niewinnej naiwności, niecodziennej prostoty, przed którą ludzie bronią się. Spacceruje po świecie ze swoim pokornym uśmiechem, który prosi o przebaczenie. Ale dzisiejszy świat nie rozumie serafickiego proboszcza, który ludziom dobrej woli niesie dobroć i pragnie aby wszyscy rozumieli, że w tym właśnie znajduje się najgłębszy czar życia. Bernanos pragnął w swoim bohaterze usymbolizować ową Chrystusową dobroć, której dzisiejszy, zmaterializowany świat, przetrawiony nieufnością do wszelkich wartości, nie umie, i nie chce zrozumieć. Życie idzie na opak, jest tak głęboko zakłamane, że z trudem docierają do jego wnętrza słowa prostej dobroci. Świat tego nie może zrozumieć, że wiejski proboszcz nie pragnie niczego dla siebie; wszędzie dopatruje się egoizmu i podstępu, bo tylko te wyrazy są dla niego dobrze zrozumiałe. Czasem padnie dobre słowo, które mroki życia rozjaśnia, ale zdarza się to rzadko. Zaś wiejski proboszcz tego nie widzi. Czasem wybucha gniewem na grzeszników i prowadzi ich przez ten gniew do spokoju i pogody ducha. Ale świętofranciszkańska dobroć nie zbliża go do człowieka, raczej oddala, rzuca między nim a jego parafianami zapory. których chyba na ziemi już nikt nie zdoła przełamać. Proboszcz przeżywa także osobiste tragedie; są momenty, gdy się załamuje, nie może udźwignąć ciężaru i wtedy oczekuje się tylko słów Chrystusowych: „Panie oddal ode mnie ten kielich...“ Ale Bernanos nigdzie w usta proboszcza nie wkłada tych słów, choć niewątpliwie pragnął dać odpowiedź na pytanie: czy Chrystusowa dobroć znajdzie zrozumienie w dzisiejszym życiu? Czy człowiek nie oddalił się już od Chrystusa tak bardzo, że nie będzie go mógł już zrozumieć? Czy szare życie nie napoiło go tak silnie obłudą i kłamstwem, że seraficka dobroć i naiwność nie mogą się już zmieścić w logice i mechanice codziennego życia? Te pytania snują się przez całą powieść Bernanosa, ale właściwie nigdzie nie znajdujemy odpowiedzi. Seraficki proboszcz umiera, właściwie gaśnie, zanika w życiu, którego on nie rozumiał, i którego ono nie rozumiało. Ale autor wszędzie stara się przez usta jego starszego kolegi wytłómaczyć, dlaczego jest tak, a nie inaczej. Nie jest to pesymizm, ale raczej gorąca chęć, aby ów symbol Chrystusowości kiedyś w życiu osiągnął pełnię zwycięstwa. Aby jednak to się stało, należy zrozumieć, dlaczego jeszcze dzisiaj jest inaczej. Powieść Bernanosa nie jest lekturą łatwą, wymaga głębokiego wyczucia subtelnych rozumowań, w których autor porusza najgłębsze problemy, znajdujące się niejednokrotnie w naszej najistotniejszej podświadomości. Kto jednak książkę przeczyta raz i drugi, znajdzie w niej najwspanialsze obrazy tej strony życia człowieka,, które prawie zawsze znika sprzed oczu naszej obserwacji, a która jednak decyduje o naszym istnieniu. Tłumaczenie Rogowicza wymaga w wielu miejscach silnej korektury stylistycznej. Podobnie korekta wiele pozostawia do życzenia.

* * *

Powieść historyczna przechodzi w ostatnich czasach znamienną ewolucję. Dotychczas dawała ona zawsze przewagę pierwiastkom fabularnym nad motywem historycznym, wysuwała treść na plan pierwszy pozostawiając historii tylko rolę tła, szerzej lub węziej rozwiniętego. Dopiero obecnie widoczne jest coraz silniejsze opanowywanie fabuły przez historię. Czy stało się to pod wpływem modnych dzisiaj „vie romancée“, trudno powiedzieć, nie ulega jednak wątpliwości, że powieść historyczna zmienia się powoli w reportaż historyczny, w parafrazę, która nie tylko nie uszczupla jej możliwości artystycznych, ale nawet daje im niejednokrotnie bogatszy krąg rozwoju. W naszej beletrystyce ten znamienny rys ewolucji współczesnej powieści historycznej widoczny jest w Kudlińskiego „Rumieńcach wolności“, a jeszcze silniej i znamienniej w dwutomowej powieści **H. Malewskiej p. t. „Żelazna korona“** (wyd. Książnicy-Atlas) nagrodzonej na konkursie Pol. Akademii Literatury wspólnie z Książnicą-Atlas. Są to dzieje cesarza Karola V, który niemal przez pół wieku trzymał w swoich rękach losy Europy. Dziwna powieść, pozbawiona prawie zupełnie wątka erotycznego, nie oparta na efektownie zbudowanej konstrukcji treści ani jakiejś fabule, ani też na środkowej, koncentrycznej postaci, poza Karolem V. Zdawałoby się, że to osłabi jej siłę sugestywną, zatrze w niejednym miejscu wrażenie artystyczne, że ta powieść bez powieści ostatecznie doskonale zmieści się w formę lekko poprowadzonego opowiadania historycznego. A jednak jest to powieść dziwnie porywająca. Początkowo obca, nie chwytająca uwagi, z czasem pochłania zainteresowanie czytelnika w miarę tego, jak przed naszymi oczami otwierają się coraz szersze perspektywy historycznego obrazu. Bo powieść Malewskiej jest przede wszystkim bogatym, starannie wystudiowanym obrazem historycznym, w którym nie pominęło się żadnych szczegółów, w którym wszystko zostało z precyzją zilustrowane, tym bardziej, że epoka Karola V osnuta była na wielu niesłychanie w treść bogatych zagadnieniach. Może nawet zbyt wielu jak na powieść. Malewska niezwykle ciekawie rzuca oświetlenia na każdy moment historyczny ówczesnych czasów, nigdzie nie daje przewagi tym czy innym wypadkom, równoważąc ich wartości w miarę tego, jakie piętno wycisnęły na tle epoki. Ta równomierność i doskonałość rozmieszczania zdarzeń, umiejętność stopniowania ważności wypadków z jednej strony dały autorce szerokie możliwości wiernego od-

# Rozmaitości

## Kryzysowe instalacje telefoniczne

Taksa zasadnicza uniemożliwia wielu ludziom utrzymywanie telefonu, ponieważ nie mają oni takiej ilości rozmów, aby się im ten wydatek kalkulował. Poczta Rzeszy Niemieckiej chcąc przyjść takim „małomównym“ z pomocą przedsięwzięła próbę instalacji wspólnych telefonów. Próby takie rozpoczęto w Magdeburgu i, o ile wykażą one rentowność, zostanie ta nowość wprowadzona na obszarze całego państwa. Instalacja wspólnych złączeń umożliwia obniżenie taksy zasadniczej na 3 marki niemieckie, co czyni 40—50 proc. należności za osobne połączenie.

Dotychczas poddano próbom trzy rodzaje wspólnych złączeń. Pierwsze dwa rodzaje polegają na tym, że dołącza się do jednego przewodu urzędowego najwyżej 10 złączeń telefonicznych. Wspólny przełącznik umieszczony w miejscu rozchodzenia się przewodów ze wspólnego przewodu urzędowego do pojedynczych złączeń jest swego rodzaju małą podstacją. Przez ten wspólny przełącznik uzyskują abonenci telefoniczni, po podniesieniu słuchawki, połączenie z urzędem telefonicznym, przez który dochodzą do abonentów także nadawane z urzędu telefonicznego wezwania. Jest rzeczą oczywistą, że rozmawiać może równocześnie tylko jeden z abonentów i że abonenci, którzy należą do wspólnego złączenia, nie mogą ze sobą rozmawiać, co jest zresztą zgodne z istotą instalacji, przeznaczonej przecież dla „małomównych“. Pierwszy rodzaj złączeń wymaga minimalnego wydatku technicznego: w miejscu pośredniczącym potrzebny jest tylko jeden organ łączący, którego numer wywoławczy jest przeznaczony dla wszystkich złączeń wspólnego przewodu. Do tego numeru wspólnego dodaje się cyfrę rozpoznawczą dla każdego złącznika. Omawiany złącznik może być jednak używany tylko przy urzędach posiadających więcej aniżeli 500 abonentów; mniejsze urzędy nie dają nań przestawić się, z powodu specjalnej techniki ich urządzenia.

Cechą drugiego rodzaju złączenia jest to, że nie wymaga on żadnych poważniejszych zmian w nakładzie połączeń urzędu telefonicznego, wskutek czego można go stosować we wszystkich urzędach.

To samo odnosi się do trzeciego rodzaju złączeń, przeznaczonych dla dwóch abonentów, które nie wymagają żadnych w ogóle zmian w urządzaniu stacji telefonicznej. Oszczędności uzyskuje się tu wyłącznie przez odpadnięcie jednego przewodu. Taryfa za takie złączenia ustala tylko zniżoną należność za przewód, a taksa zasadnicza nie ulega zniżce. Złączenia dla dwóch abonentów urządza się również tylko poza odległością 5 km. od urzędu telefonicznego.

## Miasto z bawełny

Do niedawna jeszcze zużytkowywano tylko włókno bawełny, a ziarno, które stanowi dwie trzecie wagi całej rośliny, odrzucano jako bezużyteczne i wykazujące szkodliwe właściwości. Większa bowiem ilość ziarn bawełnianych, pozostawiona na ziemi nawet krótki czas, zdołała ją wyjałowić. Nie należy się przeto dziwić, że ludność okolic, w których masowo uprawiano i oczyszczano bawełnę, złorzeczyła tej złośliwej roślinie. Obecnie ziarna bawełny przestały być niebezpieczne i stały się surowcem bardzo pożytecznym dla przemysłu. I tak np. w Ameryce wytwarza się z nich w 1.200 fabrykach tanie oleje jadalne, eksportowane do wielu krajów europejskich. Holandia produkuje z oleju bawełnianego margarynę, a Włochy sprowadzały do niedawna jeszcze ten olej, przerabiając go następnie w rafineriach na oliwę jadalną. Niemiecki chemik, Schmidt, z Heidelbergu, wyprodukował w 1930 roku z ziarn bawełnianych mąkę zawierającą dużo składników odżywczych w postaci białka, fosforu itp. W Egipcie i Sudanie wytwarza się z ziarn i odpadków włókien bawełnianych cenny materiał budowlany w rodzaju cementu. Z tego „cementu“ wybudowano w roku 1930 w Chicago całą większą dzielnicę willową.

## Muchy lubią żółty kolor

Przyzwyczailiśmy się już do tego, że papier na muchy jest koloru żółtego i nie dziwimy się temu. Wybór tego koloru ma jednak swoje uzasadnienie. Badacze szczegółów życia zwierzęcego stwierdzili mianowicie, że muchy okazują szczególne zamiłowanie do koloru żółtego i czerwonego. Celem udowodnienia tego, wykrojono pasy papieru w różnych kolorach i posmarowano je lepem. Okazało się wówczas, że na papierze żółto-czerwonym nakleiło się 10.000 much, na brunatnym w tymże czasie i w tychże warunkach — 6.000, a na papierze białym i zielonym po 2.000 much. Ta próba praktyczna zdecydowała o wyborze stałego papieru używanego jako lep na muchy.

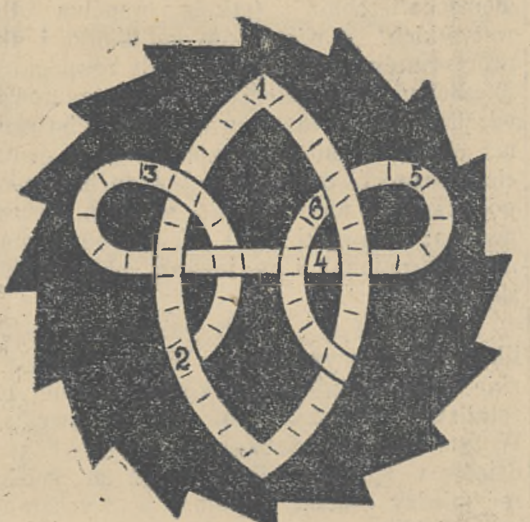
# Rozrywki umysłowe Nr 15/54

**Pod kier. inż. H. Braumanowej, czł. Kl. Szar.**

**II. Konkurs (d. c.)**

**ZAD. 13 — WĘŻOWNICA.**

uł. T. Sobecki, czł. Kl. Szar..




Wyraz I, czytany w prawo: **zaoceanowy**, z tamtej strony oceanu.

Wyraz I, czytany w lewo: dzień radosny uroczyście obchodzony w U. S. A., na pamiątkę wyzwolenia się Ameryki od Anglii.

Wspólne lit. począt. i końcowa.

Wyrazy od 2 do 6, pisane jednym ciągiem, mają wspólne litery początkowe i końcowe.

**Znaczenie wyrazów:** 2) Surogat, 3) drobiazgowe opowiadania, dokładniejsze wyjaśnienie myśli, 4) drobne ciało niebieskie, 5) przygrywka przy toastach, 6) zażarci, zaciekli.

**ZAD. 14 — SZARADA Z CYKLU „ROZKOSZE ZIMOWE“**

uł. „Dziadek z Bakszty“ — czł. Kl. Szar

**Trój-dwie trzecie pierwszej-drugo**, jak sięgnie oko,
roztacza się biel śnieżna, pyszna, nieskalana.
Wczoraj ponownie ziemię pokryła głęboko,
więc w bieli tej ludziska grzęzną po kolana.

(**Drugi-czwarty** Wierch w Tatrach, Rysy i Łomnica
bielą od Października już oczy zachwyca.)
**Wspak piąty-pierwszy** pokrył zeszłej nocy szyby
misternemi wzorami najcudniejszych kwiatów,
łącząc je w bukiety i **dwa-trzecie** niby,
sprowadzane raz jeden do roku z zaświatów
(Tylko tam mogą chyba istnieć takie cuda,
których śmiertelnikowi stworzyć się nie uda!)

O **czwarta-piąta** biała, mroźna, pełna krasy.
**Sześć** wspanialsze któż stroi z śnieżnej bieli futra?
**Raz-piąta-sześć z haczykiem** tłumi w pierwsze czasy
twój widok, nim oswoi nas z tym cudem jutro!
(Bo pojutrze rozlegać się będzie gwar, śmiechy
Narciarzy i łyżwiarzy pijanych z uciechy.

**ZAD. 15 — ANAGRAM.**

uł. **J. Jodłowski** — Piotrków.

Podane poniżej litery należy tak poprzestawiać, by powstało 14 wyrazów o podanym znaczeniu. Litery początkowe tych wyrazów dadzą rozwiązanie

1. A, A, C, E, F, I, J, K, R; W, Y,
2. A, A, A, C, G, I, J, N; O, R, Z,
3. E, G, I, I, J. K, L; N; R, T; U;
4. A; C; E, F, H, M, O. O, R, R, S;
5. A, I, I, J, L, N, O, S; T, U, Z,
6. A, E, G, G, I, J; L; O, O, P, T,
7. A, A, C, C, H, I, J; N; M, O, R;
8. A, A, A, C, C, H; J, L, N, U, Y;
9. A, A, Ć, E, K, M, O, R, W; Y; Z;
10. I, M, O, O, O, P, R, R, T; T, Z;
11. A, A, I, J, N, R, S, S, T, U, Z,
12. A, A, A, C, F, J, K, S; S, T, Y;
13. A, A, A, C, J, M, O, R; T, Y; Z;
14. A, A, E, J, K, L, M, N, O, P, T.

**Znaczenie wyrazów:** 1. Sprawdzenie, 2. ustrój, 3. najemnik, 4. zewnętrzna warstwa atmosfery słonecznej, 5. dający się powodować złudzeniom, 6. nauka o cywilizacji staroegipskiej, 7. wróżenie z ręki, 8. chorobliwe złudzenie zmysłów, 9. wysadzać drogimi kamieniami, 10. pionowy wzrost rośliny, 11. dozorujący chorych, rannych, 12. zadośćuczynienie, 13. umorzenie, 14. chorobliwa skłonność do kradzieży.

**ZAD. 16 — BILETY WIZYTOWE.**

uł. „Anerg“ czł. Kl. Szar

| | | | |
|---|---|---|---|
| 1 | Mozarski | 4 | Ziem. Poradoski |
| 2 | Ks. Pius Barcyk | 5 | Karol Jez |
| 3 | Henri Dickota | 6 | Stefan Rogatis |

Kto są ci panowie?

**Sprostowanie:** w **Nr 11/50** dodatku „**Tydzień“ w zad. 10 „Szaradki refleksyjne“** należy poczynić następujące poprawki: w szar. 2 w wierszu 4 winno być Wtór-trzecie, w wierszu 5 po słowie „upór“ skasować przecinek, w szar. 4 w wiersz. 3 ostatni wyraz powinien być „wszak“, zamiast wspak.

twarzania tła, a z drugiej są świadectwem doskonałego opanowania materiału historycznego oraz wyczucia historycznego.

Koncentryczną postacią jest Karol V. Jego gorąca chęć zbudowania silnego państwa, walki z królem francuskim, splot zawiłych spraw niemieckich i włoskich, wreszcie abdykacja i krótkie życie człowieka, który z dala od ludzi i bieżących wypadków pragnął zrozumieć sens własnego życia — te wypadki tworzą w powieści z Karola V nie tylko wielkiego cesarza i wodza, króla i rycerza, ale również człowieka, który żyje tymi samymi pragnieniami, co każdy najbardziej szary człowiek. Karol V przez całe życie dąży do jakiegoś celu, w zawiłych ówczesnych wydarzeniach widzi jakąś głębszą rację życia, pragnie filozoficznego wytłumaczenia własnego istnienia. Ten motyw w jego życiu najsilniej uwypukla się w ostatnich scenach powieści. Obok niego zjawia się w powieści szereg innych postaci, typowych dla ówczesnej chwili, z których każda reprezentuje jakiś charakterystyczny rys epoki, tak bardzo skomplikowanej. Trzeba pamiętać, że są to czasy reformacji, że humanizm święci triumfy, następuje wspaniały rozkwit sztuk — to jest tło powieści Malewskiej i równocześnie jej najistotniejsza treść. Dając przewagę historyzmowi Malewska starała się, aby też historia w powieści była najistotniejszym sensem i jej życiem. I dzięki temu z książki wieje duch innych czasów, przemawiają inni ludzie, żyją inne wypadki. Równocześnie jednak to wszystko jest nam dziwnie bliskie i znajome. Bo we wszystkim żyje człowiek, który w swej najgłębszej istocie, w swoim człowieczeństwie jest zawsze ten sam, zmienia się tylko tło, nawet psychika podlega pewnym ewolucjom, ale dusza ludzka jest zawsze ta sama. I to jest właśnie przyczyną, że powieść Malewskiej jest nam tak bliska. Osiągnięcie zaś tej bliskości wymagało nie małej skali artyzmu, opanowania nie tylko treści, i historycznego materiału, ale również zrozumienia człowieka. W Malewskiej zyskuje nasza literatura nowy, wybitnie zapowiadający się talent, posiadający już dzisiaj własne artystyczne oblicze.

* * *

Innym typem powieści historycznej jest książka **Zofii Kossak** p. t. **„Król trędowaty“** (wyd. św. Wojciecha w Poznaniu), będąca dalszym ogniwem wielkiego eposu historycznego p. t. „Krzyżowcy“. Po zdobyciu Jerozolimy, które kończy „Krzyżowców“, mija lat siedmdziesiąt. Na tronie jerozolimskim zasiadł król Baldwin V, przypominający dawnych królów rycerzy jerozolimskich, człowiek dzielny, mądry, znakomity rycerz, i rozsądny polityk. Ale król Baldwin wie doskonale, że życie jego szybko się kończy, ponieważ zarażony jest trądem. Ta jego tragedia dominuje najpierw ponad akcją, ogniskując się w znacznym stopniu na wewnętrznych przeżyciach. Tutaj autorka umiała wydobyć obrazy o klasycznej sile dramatu, zwłaszcza, że tegoż dramatu bohaterem jest król i człowiek o wybitnych cechach. Te dwa czynniki: dramat i wielkość człowieka, umiejętnie wyzyskane przez autorkę otworzyły jej możność sprecyzowania scen bardzo silnych, opartych na bogatej skali uczucia. Równocześnie obok tragedii króla rozwija się różnorodne życie upadającej Jerozolimy: walki rywalizujących między sobą zakonów, brutalne wyzyskiwanie sytuacyj dla osobistych korzyści, podstępy i intrygi, ambitne plany Luzunianów i polityka Sybilli, siostry królewskiej. Szeroka treść, wypełniająca książkę po brzegi, tworzy błyskawiczne tempo rozwijającej się akcji. W „Krzyżowcach“, powieści o szerokich ramach eposu, pierwiastek historyczny niejednokrotnie wysuwał się ponad akcję, w „Królu trędowatym“ jest odwrotnie, akcja pochłania historyzm. Dlatego, aby stworzyć sobie odpowiednio dokładny obraz historyczny, musi się najpierw przeczytać „Krzyżowców“.

* * *

Ogromną poczytność swoich powieści zawdzięcza **Mostowicz** ich różnorodności tematów oraz wielkiej żywości akcji. Są to powieści czasem sensacyjne, czasem dotykające poważnych tematów, ale tak w jednym, jak i w drugim wypadku zawsze oparte na dobrze zmontowanej fabule, i zawrotnym tempie akcji, dzięki czemu przykuwają uwagę czytelnika do ostatniej stronicy. To samo powiedzieć można o jego ostatniej powieści pt. **„Znachor“** (wyd. Rój), choć należy ona do jego słabszych dzieł. Uderza przede wszystkim dość sztuczne zawiązanie akcji. Słynny chirurg Wilczura, opuszczony przez swoją żonę błąka się nocą po ulicy. W jakiejś podrzędnej knajpie dostaje się w ręce bandytów, którzy go wywożą za miasto. Otrzymuje uderzenie w głowę, powodujące utratę pamięci. Teraz zaczynają się dziwne koleje życia chirurga, który nie pamiętając o swojej przeszłości zostaje znachorem, leczy ludzi na wsi, przy pomocy najprymitywniejszych narzędzi robi skomplikowane operacje. Równolegle rozwija się historia jego córki, której znachor nie poznaje, choć ma dla niej instynktownie wiele szczerego uczucia. Mostowicz często w swoich powieściach chwyta się sztucznych sposobów montowania akcji, ale zawsze z ogromną łatwością umie ją wyprowadzić z labiryntu tej sztuczności. — W „Znachorze“ jednak zbyt chętnie posługuje się cudownymi zbiegami okoliczności, które u krytyczniejszego czytelnika niewątpliwie wywołają silne zastrzeżenia. Również niejedno można by zarzucić stylowi powieści. Ale przymknąwszy oczy na te niedociągnięcia, zresztą dość jaskrawe, powieść, choćby ze względu na tempo jej akcji, będzie miała z pewnością gorliwych czytelników.

* * *

Książka **Magdaleny Samozwaniec** p. t. **„Maleńkie karo powiła mi żona“** (wyd. Rój) jest niewątpliwie powieścią na czasie. Dziś, w okresie szalejącej epidemii brydżowej powieść o brydżystach będzie lekturą poszukiwaną. Autorka bardzo chętnie pod osłoną wiotkiej treści wypowiada poważne poglądy, na pozór ze wszystkiego pokpiwa, w rzeczywistości jednak chętnie w każdym drobiazgu doszukuje się głębszej myśli. — W ostatniej swojej powieści opisuje sezonowe nastroje w Gdyni, jak to panie szukają mężów, a panowie czwartego do brydża, jak to wszystkie wartości człowieka mierzy się umiejętnością gry i jak wszelka radość streszcza się przy zielonym stoliku. Oczywiście, jak zwykle, Samozwaniec chętnie posługuje się parodią, która ośmiesza ludzi i wypadki. Ale jeszcze chętniej moralizuje, wprawdzie w miłej formie lekkiej pogawędki, zawsze jednak moralizuje, może nawet zbyt wiele niż było potrzeba. I namiętnie wyśmiewa brydżystów, dla których najważniejsze nawet wypadki życia kończą się przy kartach. Ale satyra satyrą, a prawdopodobnie jednak sama autorka jest namiętną zwolenniczką wyśmiewanej gry. Tak przynajmniej można by wnioskować z jej książki.

**KUPON Nr 15/54**

ważny do dnia 30 kwietnia 1937 r.

## ŻYCIE RELIGIJNE

# Przegląd spraw religijnych

Jedną z cech charakterystycznych Kościoła i świadczących o Jego świętości jest to, iż wydaje świętych. Święty, który bądź życiem heroicznym, bądź śmiercią heroiczną (męczeństwem) świadczą o prawdzie nauki Kościoła... Mogło by się zdawać, że minął — przynajmniej w Europie — okres męczenników. Tak jednak nie jest... Świadczy o tym proces beatyfikacyjny toczący się w Rzymie w sprawie t. zw. męczenników Komuny.

**MĘCZENNICY Z R. 1871.**

Jesteśmy w roku 1870, w Paryżu. Jest jesień. Klęska Sedanu, upadek Napoleona III... W Paryżu wybuchają rozruchy. — Władza dostaje się do rąk skrajnych rewolucjonistów. Zdemoralizowane klęską i anarchią masy szaleją. Ataki na budynki państwowe. Płoną kościoły. Z anarchią komunistyczną w parze idzie bezbożnictwo, nienawiść do religii. I to wtedy, gdy wojska pruskie zagrażają stolicy.

W Arcueil (dep. Seine) rozegrał się wówczas dramat. Dominikanie z O. Rafałem Captier na czele oddają się na usługi rannych, umieszczonych w ich własnym kolegium. W dniu 19 maja 1871 r. zostają aresztowani. Bez powodu. W dn. 25 maja otwierają się dla nich drzwi więzienia. Tłum podbechtany przez bezbożnych komunardów rzuca się na nich i morduje. Giną w strasznych mękach. Jest w tym gronie 13 ludzi także kilku świeckich, urzędników i nauczycieli.

Kongregacja Obrzędów prowadzi teraz badania, które zmierzają do ustalenia warunków męczeństwa w tym wypadku. W szczególności do stwierdzenia: czy śmierć zadano im istotnie z nienawiści do Chrystusa, i czy ofiary komunardów umierały dobrowolnie za ideały wiary?

**MODLITWA PROTESTANTA ZA PAPIEŻA.**

Niedawno, szczęśliwie zakończona choroba Ojca św. ujawniła wielkie przywiązanie wiernych do Piusa XI. Nawet po stronie niekatolickiej były w tym czasie dowody niezwykłego wprost szacunku dla głowy Kościoła katolickiego... Jeden z nich zasługuje na podniesienie.

Pastor episkopalnego kościoła w Atlanta (Stany Zjednoczone) dr Gasque, odczytał w czasie choroby Ojca św. następującą modlitwę podczas nabożeństwa:

„Ojcze Miłosierdzia i Boże wszelakiej pociechy, jedyna nasza pomocy w czasach potrzeby, — wejrzyj — prosimy Cię pokornie — na Twego sługę chorego, Biskupa Rzymu, za którym się wstawiamy, nawiedź Go i pociesz! Zwróć Twe współczujące oczy na Niego, umocnij Go Swoją dobrocią, strzeż Go przed zasadzkami nieprzyjaciela, daj Mu cierpliwość w boleściach, i w czasie, który uznasz za stosowny, przywróć Mu zdrowie i daj Mu siły, by resztę życia mógł spędzić w bojaźni Bożej i w Twojej chwale. Albo też daj Mu łaskę, by po pracowitym życiu mógł żyć z Tobą w wieczności przez Chrystusa Pana Naszego".

**OFIARY Z ŻYCIA.**

Nie mniej wzruszające były objawy sympatii dla Ojca św. w kołach katolickich. „La Croix" podaje, że siedmiu sędziwych księży z diecezji Bergamo, którzy byli wyświęceni między 1867 a 1879 r. ofiarowali w uroczysty sposób Panu Bogu resztę swego życia, jaka im pozostaje, by go przydał Papieżowi... W jednym zaś z włoskich seminariów duchownych — donosi ten sam dziennik — młodzi alumni ofiarowywali Panu Bogu pewne okresy swego życia, z prośbą o przedłużenie go Ojcu św. Niektórzy ofiarowali dnie, inni miesiące, a inni — lata.

Któż może wiedzieć, czy te ofiary nie zaważyły na przebiegu choroby Ojca św.

**„WALKA SZKOLNA" W NIEMCZECH.**

Nasza P. A. T. podała niedawno wiadomość, że przy plebiscycie szkolnym w zagłębiu Saary 97 proc. ludności oświadczyło się za „chrześcijańską szkołą gminną"(!) I że to jest dowodem wierności tej ludności dla katolicyzmu w obecnej walce szkolnej... Wszystko inne, tylko nie to.



Istnieje w Niemczech dwojaki typ szkoły, o ile chodzi o stosunek do religii: 1) „Gemeinschaftsschule" (szkoła wspólna dla wszystkich, a więc i dla katolików, i dla protestantów, i dla żydów, i dla neopogan), 2) „Bekenntnisschule" (szkoła wyznaniowa, odrębna dla każdego wyznania). Pierwsza ma charakter międzywyznaniowy; w gruncie rzeczy zaś przepojona jest duchem neopogaństwa i niechęcią do wyznań. Korespondent niemiecki P. A. T. zrobił z niej „szkołę gminną" i to jeszcze „chrześcijańską".

Konkordat z r. 1933 gwarantuje katolikom szkołę wyznaniową. Władze hitlerowskie jednak zmierzając konsekwentnie do totalizmu zmierzają do jej zniszczenia. W tym celu zainscenizowali „plebiscyt" rodziców w sprawie szkoły, każąc im wybierać między „szkołą wspólną" a „wyznaniową". Plebiscyt wypadł na korzyść pierwszej: wypowiedziało się za nią od 80—100 proc. głosujących. Nie było to jednak głosowanie. W czasie głosowania szalał terror. Z obawy utraty posady lub pracy ludzie głosowali w myśl życzeń władz. Byli zresztą najściślej inwigilowani przez partię narodowo-socjalistyczną. Był to jeden skandal od początku do końca. Biskupi protestowali publicznie w listach pasterskich przeciw tym metodom. Listy były konfiskowane. Władze III Rzeszy przystępują teraz do wykonania „woli" ludności, do kasaty szkół wyznaniowych.

**ROLA NAUCZYCIELSTWA.**

Z tej „walki szkolnej" warto przytoczyć jeden epizod, bardzo charakterystyczny.

W dniu 20 marca miał się odbyć „plebiscyt" rodziców w zagłębiu Saary. Na dzień przedtem, 19 marca, zwołał „gauleiter" Buerckel nauczycielstwo z całego terenu, aby mu „wyjaśnić" zasady tego plebiscytu, a w gruncie rzeczy nauczyć metod, które miały zapewnić zwycięstwo „wspólnej", neopogańskiej szkole. Narady odbywały się w teatrze w Kaiserslautern.

P. Buerckel wygłosił gwałtowny referat przeciw katolicyzmowi. Widzi w nim wroga narodu niemieckiego, bo Kościół nie godzi się na teorię krwi i rasy. „Według doktryny katolickiej — mówił — lepiej robi katolik niemiecki żeniąc się z murzynką katolicką, niż z Niemką niekatolicką..." „Zamieszanie religijne", które panuje w Niemczech, przypisał „proboszczom i biskupom", których nazwał „dzikimi fanatykami" (wildgewordene Fanatiker). Oni to szerzą „terror", a hitlerowcy „tylko się bronią"... W końcu zapowiedział, że tak jak gdzieindziej, tak i w zagłębiu Saary plebiscyt musi wypaść na korzyść szkoły „wspólnej" i że w jego wyniku zaangażowany jest „honor nauczycielstwa".

W dniu 20 marca 97 procent rodziców „oświadczyło się" za szkołą „wspólną".

*Pejot.*

# Siła i autorytet

## Ojciec św. w obronie praw i godności człowieka

„Składniki władzy to siła i autorytet — pisze Gulielmo Ferrero. Państwo nowoczesne, będące olbrzymią siłą, winno ponad to posiadać autorytet moralny, aby mogło spełnić swe zadanie życiowe... Nie siły brak państwom nowoczesnym, lecz godności, umiarkowania, sprawiedliwości i wzniosłości. Każdy kto woła dziś o państwo silne, nie oglądając się na jego autorytet moralny, postępuje tak, jak człowiek pijany, który domaga się wina" (Por. G. Ferrero, „Przemowy do głuchych").

Nie liczą się z tą prawdą dziejową dwa olbrzymie dziś kierunki społeczne, głoszące wyłączny kult siły z pominięciem moralności chrześcijańskiej — to komunizm i hitleryzm, które poddane zostały krytycznej analizie w ostatnich encyklikach papieskich. Kult siły głoszą Sowiety; na VIII kongresie Sowietów niedawno Litwinow wołał: „My bolszewicy nie obawiamy się szczekających psów (t. zn. ludzi innych przekonań — przyp. red. „Gł. N.")... Związek Sowietów jest potężny świadomością swej niezwyciężonej mocy". Ten sam kult siły wprowadza do swej doktryny hitleryzm, który mówiąc o przyszłej wojnie głosi taką zasadę: „Kiedy pomyślność naszej ojczyzny wymaga zdobycia, uciskania i tępienia innych narodów, nie mogą nas od tego odwodzić ani też odstraszać żadne myśli chrześcijańskie lub rozważania humanitarne" (Por. Der Grenzbote).

Tym zasadom przeciwstawiają się zdecydowanie wskazania Kościoła katolickiego, które znalazły wyraz w ostatnich encyklikach. Ojciec św. wykazuje jasno, że wszelka siła, która nie opiera się na autorytecie moralnym, nie może liczyć na trwały posłuch, nawet gdyby używała najstraszniejszych gróźb. Siła pozbawiona podstaw moralnych zabija sama siebie. Musimy o tym ciągle pamiętać, jako o prawdzie jasnej i głębokiej, będącej kluczem do rozwiązania tylu dzisiejszych problemów społecznych. Tym autorytetem moralnym, dającym przejawom siły istotną wartość, jest nauka Zbawiciela świata zawarta w Kościele. Do stworzenia bowiem prawdziwej siły i spójni społecznej w państwie Kościół przyczynia się dwojako: 1. pośrednio, urabiając sumienia obywateli i wytwarzając środowisko podatne do wprowadzenia w czyn zasad cementujących wszelką budowę społeczną. 2. bezpośrednio, wspomagając działalność wszelkich dzieł i związków, dążących do ugruntowania sprawiedliwości chrześcijańskiej w życiu ekonomiczno-społecznym państwa.

W ten sposób Kościół do elementu siły, z którym wyłącznie liczą się przywódcy polityczni, wprowadza podłoże trwałe, jakim jest autorytet, oparty o wiecznotrwałe zasady moralne. Przedziwny jest ten moralny autorytet Kościoła, który mimo zaciętych prześladowań zewnątrz i zatargów wewnętrznych, mimo licznych herezji i niejednokrotnych ludzkich słabości duchownych i świeckich, zachowuje wieczną młodość i świeżość przez ciągłe odradzanie. Kościół zabezpiecza wszelką istotną siłę państwa o ile ta nie przeradza się w nadużycie. Mówi o tym profesor Al. Brückner, wykazując, jak np. autorytet Kościoła przyczyniał się w dawnej Polsce do utrwalenia siły państwowej i wzmocnienia kultury społecznej. „Chrześcijaństwo i autonomia kościelna zabezpieczyły mocarstwo na zewnątrz — pisze Brückner, ale oddziałały jeszcze nierównie silniej na wewnątrz. Kościół zespolił się z władzą świecką i przyłożył się niebawem najskuteczniej do ocalenia narodu z grożącego mu rozbicia. Cóż dopiero kultura! Dzięki to Kościoła, on stworzył szkołę, naukę... on postawił zadania sztukom pięknym od architektury do rzeźby i śpiewu, a niwę duchową przeorał, jak nikt i nic przed nim ani po nim". (Por. „Dzieje kultury polskiej" t. I, str. 232).

Ten najwyższy na świecie autorytet moralny zawarty w Kościele ogromnie zyskuje na znaczeniu w życiu kulturalnym świata. W czasach zwłaszcza dzisiejszych, gdy olbrzymie prądy społeczne jak komunizm i hitleryzm poniżają godność indywidualną człowieka, któremu nakazują więcej miłować państwo niż własną duszę, nauka zawarta w Kościele katolickim, całkowicie harmonizująca prawa jednostki z obowiązkami społecznymi, siłą rzeczy wzbudza coraz większe zainteresowanie i staje się jedyną ostoją skołatanej ludzkości. „Bo katolicyzm — mówi prof. Adam — co do swej istoty jest pełnym mocnym przyznaniem się do całego człowieka, do człowieka pełni, we wszystkich jego relacjach życiowych" (Por. prof. Adam „Istota katolicyzmu").

—o-o-o—

## Z obcej niwy

# Wiara u szczytów prawdziwej wiedzy

*Znanym jest fakt, że im bardziej poważny i głęboki uczony sięga szczytów wiedzy, im więcej zastanawia się nad wielką tajemnicą bytu wszechświata, tym coraz bardziej oddala się od pojęć materialistycznych i zbliża ku poznaniu Boga i wierze. Przykładów na to jest mnóstwo we wszystkich czasach, a bodaj najwięcej w czasach dzisiejszych, gdy zdawałoby się, właśnie materializm powinien święcić triumfy.*

*Niedawno ukazała się w Ameryce świetna książka, pt.: „Wielki plan", Jezuity O. A. Vanghan, który zebrał w niej opinie wybitnych uczonych o niezgłębionej tajemnicy Stworzenia. Wybierzmy z niej kilka przykładów:*

*Sir J. Arthur Thomas w rozważaniach swych nad powstaniem świata dochodzi do takiej konkluzji:*

**„Jest coś wielkiego w wierze w Stwórcę, który tak świat uformował, że rozwija się on dalej zgodnie z Jego prawami. Wszelka wiedza prowadzi do przeświadczenia, że nie potrafilibyśmy zrozumieć wszechświata i roli, jaką w nim odgrywamy, jeśli nie uwierzymy w fakt Woli Bożej, która światem od jego początku kieruje i całą przyszłością kierować będzie".**

*Fizyk James Arthur Crowther z uniwersytetu Cambridge w dziele o falach świetlnych pisze:*

**„Wiedza do dziś dużo już przeszła drogi i wiele dziedzin zbadała. Z bogatych zasobów przyrody przez swe badania wiele cudownych i cennych rzeczy wywiodła na światło dzienne. Teraz koło zdaje się już zamknięte i wiedza staje wobec tajemnicy aktu stworzenia, a innych słów znaleźć nie może, jak owo: „I rzekł Bóg: niech się stanie światłość! I stała się światłość!"**

*Trzeźwo i rzeczowo mówi Sir James Jean:*

**„Z nieprzezwyciężoną mocą wskazuje wszystko na akt stworzenia, który nastąpił w pewnym określonym czasie. Gdzie jest stworzenie, tam jest cel. Odrzucicie cel, to nie będzie także stworzenia, a wtedy, gdzie szukać będziemy początku świata fizycznego?"**

*Profesor uniwersytetu w Bristol, Charles Lloyd Morgan, w dziele swoim „Rozwój ducha" wyznaje:*

**„Wierzę, że rozwój ducha jest dowodem tego wzniosłego Ducha, którego uważać trzeba za Stwórcę tego wszystkiego, co my jako „nowość" odkrywamy. Co przy moich badaniach nad rozwojem świata odkrywałem, to wielka planowość, przemyślana od początku do końca, od pierwszej do ostatniej chwili".**

*Zoolog Ernest William Mac Bride stawia w dziele swym „Jednorazowość życia" pytanie:*

**„Czy może ktoś naprawdę poważnie sądzić że wskutek przypadkowego zetknięcia się atomów powstała ta Potęga, która światem rządzi i ład weń wprowadza? Czy rzeka wyżej sięgać może niż źródło? — Tylko Stwórca mógł żywej materii udzielić mocy panowania nad otaczającym światem..."**

*Na zakończenie wreszcie skromne lecz przekonywujące słowa profesora zoologii w uniwersytecie stanfordskim:*

**„Jeżeli dość głęboko się zastanowimy, czy nie będziemy właśnie przez naukę zmuszeni uwierzyć w Boga?"**

*Nic dziwnego zatem, że wobec tak wymownych świadectw znakomitych uczonych świata, ostatni kongres wolnomyślicieli w Pradze w kwietniu r. ub. odwrócił się od nauki, wyraził swego rodzaju votum nieufności naukom ścisłym i połączył się z bezbożnikami sowieckimi.*